

GWIAZDY ROMANSU



Debbie
MACOMBER
KWIECIEŃ
W SAN FRANCISCO

Debbie
MACOMBER

**KWIECIEŃ
W SAN FRANCISCO**

Tłumaczyła
Zuzanna Pytlińska

Tytuł oryginału: Father's Day

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 1991

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Joanna Rodziewicz-Cygan

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech, Joanna Rodziewicz-Cygan

© 1991 by Debbie Macomber

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i serii Harlequin Gwiazdy Romansu są zastrzeżone.

Wydawnictwo Arlekin – Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTExT[®], Warszawa

ISBN 978-83-238-8208-4

Gwiazdy Romansu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Nie mogę wprost uwierzyć, że robię coś takiego – szepnęła do siebie Robin Masterson, zaglądając do prowizorycznego namiotu podwieszonego na sznurze do suszenia bielizny w ogrodzie przylegającym do jej nowego domu.

– Wejdź, mamó – zachęcił ją dziesięcioletni syn, Jeff, i przesunął się, żeby zrobić dla niej miejsce.
– Tu jest naprawdę miło i ciepło.

Na czworakach, z latarką w ręce, Robin wczłgała się do środka.

Do konstrukcji swojego namiotu Jeff użył spinaczy do bielizny, którymi przypiął prześcieradła do sznura, oraz kamieni, żeby przycisnąć prześcieradła u dołu. W środku nie było zbyt dużo miejsca, jednak jakimś cudem udało się jej wśliznąć do swojego śpiwora.

– Ale niesamowicie – powiedział Jeff, wysu-

wając głowę przez niewielki otwór wejściowy namiotu i spoglądając z zachwytem na rozgwieżdżone niebo.

Kiedy Robin szła ścieżką przez ogród, miała wrażenie, że gwiazdy uśmiechają się do niej z przekąsem. Ciekawe, jaki też mogły mieć powód. No cóż, zapewne w całej Kalifornii ze świecą by szukać drugiej takiej matki, która zgodziłaby się na podobne szaleństwo. To była pierwsza noc w nowym domu i Robin ledwo żyła ze zmęczenia. Wstała dziś rano przed piątą i od razu zaczęła upychać do samochodu pakunki i meble. Dopiero przed chwilą zakończyła rozpakowywanie najpotrzebniejszych kartonów. Łóżka też już były pościelone, ale Jeff nawet nie chciał słyszeć o czymś tak banalnym, jak spanie na wygodnym materacu w swoim pokoju. Od dłuższego czasu nie mógł się doczekać tego dnia, kiedy wreszcie przenocuje w namiocie we własnym ogrodzie. Nie była w stanie mu wytłumaczyć, żeby zaczekał z tą przygodą choć dzień lub dwa, a przecież nie mogła pozwolić, by spał sam, tym bardziej że nie знаła jeszcze ani sąsiadów, ani okolicy. Zostało jej więc tylko jedno wyjście i była święcie przekonana, że gdzieś, choć nie miała pojęcia gdzie, musi na nią czekać medal dla najlepszej matki roku.

– Opowiedzieć ci kawał? – zapytał Jeff, trącąc ją lekko łokciem.

– Jasne – odparła, tłumiąc ziewanie, w nadziei, że nie zaśnie, nim padnie pointa dowcipu. Musiała

się przecież w odpowiednim momencie roześmiać, żeby nie sprawić synowi przykrości.

Jej obawy były jednak całkowicie nieuzasadnione, bo jeszcze przez kolejne pół godziny pozwoliła się zabawiać całą serią zagadek, rymowanek i ulubionych piosenek z obozu.

– Puk, puk – powiedziała wreszcie, gdy umilkł na chwilę.

– Kto tam? – zapytał rozbawiony Jeff.

– Zdrowy rozsądek – uśmiechnęła się. – Pora już zakończyć na dziś te igraszki.

Mały wybuchnął takim śmiechem, jakby powiedziała coś bardzo zabawnego. Ten entuzjazm zupełnie ją rozbawił i uznała, że taka przygoda to całkiem dobra zabawa, choć już od lat nie spała na ziemi i zapomniała, jakie to niewygodne.

– Myślisz, że nie zmarzniemy? – zagadnęła rzeczowo, chcąc przywołać syna do porządku.

Wyciągnął wszystkie koce, jakie były w domu, żeby skonstruować i wymościć sobie to gniazdko. Na ich śpiworach leżały dwa ostatnie, na wszelki wypadek, gdyby miał ich dopaść w nocy arktyczny chłód. Co prawda był już kwiecień, ale w San Francisco wiosna potrafiła być czasem naprawdę wyjątkowo chłodna.

– Jasne, że nie, ale w razie czego weźmiesz mój koc – powiedział Jeff, wczuwając się w rolę dorosłego mężczyzny. – Nie jesteś głodna?

Teraz, kiedy o tym wspomniał, poczuła głód.

– Właściwie tak, a co masz?

Jeff zanurkował w śpiworze i po chwili wyłonił się z małą plastikową torebką pełną sprasowanych łakoci.

– O, nie, dziękuję, coś takiego niekoniecznie.

– A kiedy kupimy mi psa? – zapytał niespodziewanie, żując z wyraźną przyjemnością swoje spłaszczone żelki.

Zamknęła oczy i milczała, wsłuchując się w młaskanie Jeffa.

– Mamo, no kiedy kupimy pieska!? – powtórzył.

Przez ostatnie dni niemal bez przerwy przeżuwała tę myśl, a dziś szczególnie, bo mu obiecała, że gdy się już zdomowią w nowym miejscu, przedyskutują ten pomysł.

– Przejrzemy jutro ogłoszenia w gazecie? – Jeff nie dawał za wygraną.

– Naprawdę nie wiem, kiedy się tym zajmiemy. Jest tyle spraw do załatwienia... – Nie chciała zawieść synka, bo wiedziała, że bardzo pragnie mieć psa. Zresztą kochał wszystkie zwierzęta, podobnie jak jego ojciec.

– Ale ja chcę dużego, wiesz, nie jakiegoś małego pudelka...

– Golden retriever byłby fajny, co? – zasugerowała.

– Owczarek niemiecki – odparł stanowczo Jeff.

– Twój tata też bardzo kochał psy...

Przez wiele lat, kiedy zostali sami, mówiła mu to setki razy. Lenny, jej mąż, odszedł już tak dawno temu, że nawet nie pamiętała, jak wyglądało ich

życie razem. Zakochali się w sobie po uszy i zaraz po skończeniu szkoły średniej wzięli ślub. W rok później zaszła w ciążę, a gdy Jeff miał zaledwie sześć miesięcy, jego ojciec zginął w wypadku samochodowym w drodze z pracy do domu. W jednej chwili cały jej świat legł w gruzach i nawet jeszcze dziś, choć minęło dziesięć lat od tamtego dnia, trudno się jej było otrząsnąć po tej tragedii. Z pomocą rodziny zdobyła zawód dyplomowanej księgowej i pracowała w San Francisco dla dużej firmy ubezpieczeniowej. Umawiała się w tym czasie z różnymi facetami, ale nie mogła jakoś sobie wyobrazić, że zwiąże się z którymś z nich na stałe i weźmie ślub. Jej życie było teraz znacznie bardziej skomplikowane niż wtedy, kiedy miała dwadzieścia lat i wszystko wydawało się takie proste. Poza tym sama myśl, że miałaby się ponownie zakochać, napawała ją prawdziwym przerażeniem.

– A jakiego pieska miał tatuś, jak był małym chłopcem?

– Dobrze wiesz, jakiego, opowiadałam ci tyle razy. Nazywał się Rover, ale chyba nie był rasowy – powiedziała. Zamyśliła się, żeby sobie przypomnieć, jak wyglądał pies Lenny’ego z dzieciństwa. – Chyba najbardziej przypominał labradora – dodała po chwili.

– A był czarny?

– Nie, brązowy.

– A tata miał jakieś inne zwierzęta?

Robin uśmiechnęła się do siebie. Lubiała, gdy Jeff

dopytywał o swojego tatę. I co ciekawe, ani dla niej, ani dla niego zupełnie nie miało znaczenia, ile razy już opowiadała mu te historie.

– W pierwszym roku naszego małżeństwa dołączyły do nas trzy kolejne zwierzaki. Wciąż ściągał do domu jakieś zagubione koty czy głodne psy. Oczywiście nie mógł ich zatrzymać, bo nie wolno nam było trzymać w domu zwierząt, i przez pierwsze dni, zanim zdołaliśmy je oddać w dobre ręce, wychodziliśmy z siebie, żeby je jakoś ukryć. A na naszą pierwszą rocznicę ślubu tata kupił mi złotą rybkę. Naprawdę lubił wszystkie zwierzęta i wspólnie marzyliśmy, że któregoś dnia kupimy małą farmę, będziemy hodować kury i kozy, można nawet jakąś krowę albo dwie, a tata zawsze powtarzał, że jak podrośniesz, kupi ci kucyka. – Jak trudno było jej ukryć cierpienie... Nawet po tych wszystkich latach wspomnienie śmierci Lenny’ego sprawiało jej ogromny ból. A teraz, gdy patrzyła na swojego syna, który tak bardzo pragnął mieć psa, jeszcze mocniej tęskniła za mężem.

– Chcieliście kupić farmę? Serio? – zawołał podekscytowany. – Nigdy mi o tym nie mówiłaś. I tata chciał mi kupić kucyka? Tylko dla mnie? Naprawdę? I było nas na to stać? – dodał po chwili namysłu. – Tyle czasu musieliśmy oszczędzać na dom, to co dopiero farma...

Robin uśmiechnęła się smutno.

– Chyba będziemy musieli zrezygnować z pomysłu posiadania farmy, przynajmniej w najbliższej

przyszłości. Sami nie damy sobie rady, bo na farmie jest mnóstwo pracy.

Robin i Lenny, gdy się pobrali, przegadali wiele godzin, snując najpiękniejsze marzenia i wspólne plany na przyszłość, pewni, że nic ich nigdy nie rozdzieli. Tak silna była ich miłość. Rzeczywiście nic nigdy nie mówiła Jeffowi o farmie, ani o tym, że chcieli ją nazwać Raj. Wybrali taką właśnie nazwę, bo to miejsce miało być ich rajem na ziemi. Ich, i tylko ich. Nie chciała o tym wcześniej opowiadać Jeffowi, bo czuła, że musi go chronić. A dzisiaj tak się jej jakoś wyrwało... Tak wiele już w życiu stracił! Nie tylko opiekę i miłość ojca, lecz także wszystko to, czego nie miał, a co miałby, gdyby żył Lenny. Nigdy wcześniej nie wspominała o kucyku ani o tym, że Lenny chciał sobie kupić konia. Obawiała się jeszcze bardziej pogłębiać u syna i tak już dojmujące poczucie przegranej.

Jeff ziewnął słodko. Zdumiewała ją jego wytrzymałość. Dzielnie jej pomagał przy przeprowadzce, biegając po schodach z energią, której mogła mu pozazdrościć. Rozpakował rzeczy w łazience na piętrze i cały swój pokój, a do tego pomógł jej w kuchni.

– Już się nie mogę doczekać mojego psa – wymamrotał jeszcze, a po chwili już smacznie spał.

– Piesek... – szepnęła Robin łagodnie, zamykając oczy. Naprawdę nie wiedziała, jak ma przekazać synowi tę złą nowinę, ale nie mogli mieć teraz psa. Nie od razu. Nie mogła zostawiać dużego psa

zamkniętego na wiele godzin w domu ani uwiązać go na łańcuchu na podwórku. Nie mieli teraz pieniędzy ani na zrobienie ogrodzenia, ani na zakup psa, ani na weterynarza, a więc siłą rzeczy sprawa musiała się odwlec w czasie. Po tej przeprowadzce była doszczętnie splukana.

Robin zbudziło poranne rześkie powietrze. Była szósta trzydzieści. Stary śpiwór, pamiętający jeszcze czasy szkolne, musiał się jej rozpiąć w nocy i do środka wdarł się poranny chłód. Ręce i nos miała lodowate. Szybko zapięła śpiwór, naciągając go aż pod brodę, i przekręciła się na bok, chcąc zasnąć jeszcze choć na pół godziny. Wyciągnęła rękę po koc, żeby się dodatkowo okryć, ale napotkała dziwny opór. Szarpnęła raz i drugi, ale bez skutku. I nagle dotarło do niej ciche posapywanie i poczuła na szyi ciepły oddech. Otworzyła szeroko oczy i odwróciła głowę. Ku jej przerażeniu spoglądała wprost w ślepią wielkiego czarnego psa. Aż zaparło jej dech w piersiach. Usiadła raptownie, próbując wypłatać się ze śpiwora.

– A ty skąd się tu wziąłeś?

Labrador wcisnął się pomiędzy nią i Jeffa i ułożył wygodnie. Łeb oparł na przednich łapach i wyglądał na bardzo zadowolonego, choć może odrobinę niepokieszonego, że przerwano mu poranną drzemkę.

Jeff zaczął się kręcić i po chwili otworzył oczy. Widząc czarnego futrzaka, natychmiast oprzytomniał.

– Mamo! – wykrzyknął, siadając – kupiłaś mi psa!

– Nie, on nie jest nasz. Nie mam pojęcia, czyj to pies.

– Mój! – zawołał tryumfalnie Jeff. – Jest mój! – powiedział i objął go za szyję. – Naprawdę kupiłaś mi psa... To miała być niespodzianka, prawda?

– Jeff – powiedziała Robin stanowczo – nie wiem, skąd tutaj wziął się ten pies, ale nie należy do nas.

– Nie, naprawdę? – Był wyraźnie zawiedziony. – Ale to czyj on jest? I jak tu wszedł do nas, do namiotu?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Robin przetarła oczy, starając się uporządkować myśli. – Za dobrze wygląda jak na przybłądę. Pewnie należy do któregoś z sąsiadów. Musimy popytać w okolicy...

– Blackie! – Nieopodal namiotu rozległ się męski głos. – Blackie, gdzieś ty polazł? Do nogi!

Labrador uniósł głowę, ale pozostał na swoim miejscu. Nie można było mu się dziwić. Jeff głaskał go jedną ręką po grzbiecie, a drugą tarmosił za uchem i czule do niego przemawiał.

Robin wygramoliła się ze swojego śpiwora, włożyła tenisówki i wyczołgała się z namiotu. Natychmiast dostrzegła wysokiego, szczupłego mężczyznę, który stał dosłownie kilka metrów od niej, koło żywopłotu wytyczającego granicę działki, i bezradnie rozglądał się dokoła. Uśmiechnęła się do niego, ale on nie odwzajemnił uśmiechu.

Szczerze mówiąc, nie wyglądał na kogoś specjalnie uprzejmego. Był naprawdę imponującego wzrostu, bo gdy podeszła bliżej, górował nad nią niczym jakaś potężna budowla.

– Dzień dobry – powiedziała najbardziej bez troskim głosem, na jaki było ją stać.

Ledwo omiółł ją wzrokiem i tylko nieznacznie kiwnął głową. No cóż, pewnie po tak spędzonej nocy nie wyglądała oszałamiająco, jednak nie usprawiedliwiała to jego kompletnego braku zainteresowania. Nie oceniała zwykle ludzi, których nie знаła, ale ten typ wydał się jej wyjątkowo antypatyczny.

– Dzień dobry – powtórzyła więc mocniejszym i bardziej stanowczym głosem, prostując się przy tym i unosząc głowę. – Jeśli szuka pan psa, to jest on z moim synem w namiocie.

Na tę wiadomość mężczyzna jakby się ocknął, a jego rysy twarzy złagodniały i Robin odniosła wrażenie, że taki odprężony, może być nawet całkiem atrakcyjny. Zwykle nie bardzo ją to interesowało, czy facet jest przystojny, czy też nie, ale tym razem ta przemiana wzbudziła jej ciekawość.

– Nie szukam go, bo on nie ucieka – wyjaśnił, po czym gwizdnął głośno i przeciągle, aż zaświdrowało jej w uszach.

Blackie wyszedł z namiotu i podszedł do żywopłotu, merdając ogonem.

– To pana pies? – zapytał Jeff, który również wyskoczył z namiotu. – Jest super. Od dawna pan go ma?

– Zapewniam, że więcej nie będzie państwu zakłócał spokoju – powiedział mężczyzna, ignorując pytanie Jeffa.

Robin domyśliła się, że miały to być przeprosiny.

– Jest dobrze wychowany, nigdy dotąd nie uciekł z ogrodu i dopilnuję, żeby się to nie powtórzyło.

– Ale on nam wcale nie przeszkadza – pospiesznie wyjaśnił chłopiec, po czym podszedł do psa i pogłaskał go po głowie. – Wszedł do naszego namiotu i chyba było mu tam dobrze – dodał po chwili z zadowoleniem. – Nie przeszkadzał nam, prawda, mamó?

– Oczywiście, że nie. – Robin odruchowo poprawiła włosy. Musiały być strasznie zmierzwione po tak szalonej nocy.

– Zaprzyjaźniliśmy się, co nie, Blackie? – Jeff przyklęknął obok psa i potarł go za uchem, a pies polizał chłopca po twarzy.

W oczach nieznajomego malowało się teraz zdziwienie. Ściągnął brwi i spojrzał surowo na psa.

– Blackie, chodź tu – rzucił komendę, a pies, ociągając się, podszedł do niego. Najwyraźniej przychylną jego pupila dla Jeffa nie była mu na rękę.

– Mój syn bardzo lubi zwierzęta – wyjaśniła Robin.

– Pan tu mieszka? – zapytał Jeff, jakby zupełnie nieświadomy nieuprzejmości sąsiada.

– Tak – odparł krótko mężczyzna.

– To świetnie! – ucieszył się chłopiec. – Nazywam

się Jeff Masterson, a to jest moja mama, Robin. Wczoraj wprowadziliśmy się do tego domu.

– Miło mi, Cole Camden.

Może jego słowa były uprzejme, ale ton na pewno nie, i Robin poczuła się mniej więcej tak mile widziana, jak zespół punkowy na pikniku dla emerytów.

– Ja też będę miał niedługo psa – pochwalił się Jeff. – Właściwie dlatego wyprowadziliśmy się z naszego starego mieszkania. Tam mogłem mieć tylko złotą rybkę.

Cole kiwnął głową bez słowa.

No to świetnie, pomyślała posępnie Robin, po latach odmawiania sobie wszystkiego i oszczędzania na dom, przyszło jej mieć kogoś tak nieprzystępnego jako sąsiada. Co za wspaniały zbieg okoliczności. Niechętnie rzuciła wzrokiem na sąsiednie zabudowania. Dom był starszy niż pozostałe w okolicy, ale i znacznie większy. Pomyślała, że musiał być wzniesiony we wczesnych latach trzydziestych. Pewnie inne w tej okolicy też kiedyś wyglądały podobnie, ale potem zostały wyburzone, a na ich miejscu powstały nowoczesne dwupoziomowe zabudowania. Jego trzypiętrowiec był więc tu ostatnim reliktem dawno minionej epoki.

– Ma pan dzieci? – zapytał wciąż entuzjastycznie Jeff. – Tam, gdzie mieszkaliśmy do tej pory, było mnóstwo dzieci do zabawy. – Lubił te wspólne zabawy i nowe znajomości, a teraz, kiedy miał